

Odpust

Granice idą z dymem, prują się jak pościel.
Dłonie, czerwone z zimna, wkładasz między uda,
ale system zawodzi, podmucha niespodzianie
osiada na brzegu, gdzie kilka osad, namiot,

tlące się ognisko świadczą tylko, że można
wyttrzymać, choć nigdzie nie jest powiedziane,
że wytrzymają. Światło topnieje na widok
lodu, z wolna zatyka szybę i usta, nos,

przeżył, zanim na dobre weźmie się za nogi.
Co tak wolno? Lewa, prawa, koniec już blisko.
Między plażą a mostem – zostawiając z tyłu
tramwaj, parę latarni – gdzie wiszą w powietrzu

brudne myśli z kobietą, która, choć jest zima,
paraduje na zdjęciu w staniku i stringach,
zostawisz ślad, trudno. Zostawisz, ile będziesz
nosił w kieszeni: chustki, kapsel, jakieś drobne.

Tętno

Dioda syczy na klatce. Z balkonu wiją się
w dół zielone spodnie z drelichu i bielizna,
ledwie para skarpet, potrząsane w rytm wiatru.
Zima bawi się w berka. Dokoła śmietnika

dzieci biegają jedno za drugim, każde z nich
inaczej ubrane, każde – na oko siedem,
osiem lat – gdy nudzi mu się rzucanie śniegiem,
po kolei wchodzi na ławkę i ściąga z niej

odpady: resztę farby i wierzchnią część drewna,
które pęka od zimna. Skóra zamienia się
w pył, z pyłu, choć dopiero bliżej wieczoru,
wytrąca się ogień, żar, podpala powieki

i schodzi niżej, w usta, pod język, do gardła.
Ciało dziecka, schowane pod kołdrą, rodzi się
niejako od nowa, ciała ojca i matki,
wyciągnięte z ciemności, tracą kształt i kolor.

Doppio

Granice są, lecz nie tu. Światło kuca w kącie
pokoju, z kuchni ciągnie się w stronę balkonu –
to tu, dokoła stołu, siedzicie bez słowa,
czując, że jest po wszystkim. Ona, krusząc kubek

ze styropianu, w którym kawa pomnaża się
cudownie i można ją sączyć w nieskończoność,
ślepo patrzy w próżnię. I ty, z oddechem wiosny
na karku naprzeciw niej, obracasz się w koło

na ruchomym krześle, aby znaleźć wgłębienie
w podłodze i plamy, o które przed minutą
wylało się tyle złości, lecz łatwiej dostrzec
to, czego nie ma – uśmiech, parę zaczepnych

gestów, na końcu spojrzenie. Lekkie, wilgotne,
trochę jak wzrok dziecka po kawie, rozbiega się
po korytarzu i hamuje na paproci,
po prostu trwa, godzinę lub dłużej, ciągle trwa.

Topiel

Znów na początku drogi, z lewej odbija się
w szybie tartan, krok dalej – zaplątane wokół
gałęzi wiotkie ciało, zupełnie bez życia –
ciało wróbla lub kawki, które ostatni raz

wiatr poderwał do lotu. Tu ślady są pewne,
układają się w przepis lub wzór, w dawne pismo,
w kończyńy, potem ciało, na końcu rodzą się
papier po gumie, kurtka, ślad, który być może

jest czymś więcej niż dłonią. Czym, liściu topoli,
rzucony tu przypadkiem, jest odór z jeziora,

z którym nie można wygrać, można go zatopić
w piwie, w oparach potu, zanim wydobędzie

z siebie pisk, zbuduje znieńska pierwsze zdanie?
Lepkie światło marszy się na wodzie i bije
nie od razu, powoli, przez szyje butelek
wystających ponad wodę, w muł, o samo dno.

Inny

Zima chwyta za gardło. Od dzisiaj liczy się
koniec drogi na skrót, obejścia przez trawnik
spod klatki, gdzie nawet latem, zwłaszcza po deszczu,
pod nogą ledwo wyczuwa się kładkę w stronę

parkingu albo – idąc za zapachem śmieci,
w przeciwnym kierunku – bliżej zsypu, w objęcia
gęstego cienia, który rzucają w południe
opuszczony budynek i parę wygiętych

od wiatru, choć tęgich drzew. Może to i prawda,
drzew, a są wśród nich kasztan czy jawor, nie zmieniają
czas ani pogoda. Proszę: chłopiec ze zdjęcia
w rękawiczkach, lecz bez szalika, tylko w swetrze,

choć naprawdę może być nim każdy, kto umie
wspinać się po drzewach, na chwilę odwraca się
do obiektywu – i widać, acz nie od razu,
smutek albo złość. Po mamie? Z powodu meczu?

Tranzyt

Wydostałem nad ranem martwe ciało wróbla
spod śniegu, ledwie chłodne – ot, prosta zabawa
w chłopca, który pod nosem, nie otwierając ust,
powtarza zastyszane w lato dźwięki morza

bijącego w falochron. Do przodu, do tyłu
za wodą ciągnie się piach, szorstki, odkleja się
niechętnie od dna tódkki, gdy fala wyciąga ją

głębiej, pomiędzy glony, mocując się z liną,
która, naprężona, ciągnie tódkę do lądu.
To jedna z twoich sztuczek: być tu, nie będąc tu.
Dokąd prowadzi ścieżka, usypana w górę
za stacją benzynową przez błoto, żwir i piach?

Tutaj ciało wróbla, zimne, w którym nie płynie
żadne znane nam życie, odzyskuje kolor,
wrywa się do lotu, podczas gdy drugie z ciał
topi się w odmętach, z każdą minutą słabsze.

Co dalej?

Krzysztof Koehler, który wybiera wiersze
do „Pressji”, wydał niedawno tom *Od morza
do morza*. Pisze o nim Adam Leszkiewicz
w *Kompresjach*.